

83586

06

18 1/2

W. S'TEFANYK.



KLONOWE

LIŚCIE

JUT

WYDAWNICTWO PAŃSTWOWE UKRAINY





W. STEFANYK

KLONOWE LIŚCIE

~~83.26~~



WYDAWNICTWO PAŃSTWOWE UKRAINY
1930

Бібліографічний опис цього видання вміщено в „Літописі Укр. Друку“, „Картковому репертуарі“ та інших покажчиках Української Книжкової Палати

Держтрест „Харполіграф“.
Перша друкарня „Комуніст“.
Пушкінська вул., 31.
Укрголовліт 4005-к.
Зам. № 6839. тир. 3000.

ЛЬВІВСЬКА БІБЛІОТЕКА
АН УРСР
№ 29 284

KLONOWE LIŚCIE

I

Pościel zarzucona płótnem, koło stołu na tylnej i przedniej ławie zasieli kmotrowie, na kraju pieca rządkiem dzieci. Pospuszczały rękawy, jak stado przepiórek, co spoczywają, ale zawsze gotowe do lotu. Kumowie zato siedzieli jak zakopani, tylko rękami sięgali po chleb albo po porcję gorzałki, ale i ręceby się najchętniej nie poruszały, jeno, zgięte w kulak, spoczywały na kolanach. Nierade brały chleb i kieliszek. Kaganek kocił na przypiecku, potworzył z kumów wielkie, czarne cienie i rzucał je na powałę. Tam na tragarzach połamały się one i także się nie ruszały.

Przy stole stał schylony Iwan, gospodarz w tej chałupie i ojciec małego dziecka, które ochrzczono.

— Bądźcie łaskawj, moi kumowie, i pozwólcie jeszcze po jednej. Choć to nie wódka, jeno błoto; ale z chłopem, to tak jest: Co gdzie w świecie najgorszego, to on to ma połknąć, co gdzie w świecie najcięższego, to on to ma zrobić...

— Natośmy zrodzeni — pobożnie odpowiadali kumowie. Kiedy kieliszek obszedł kolejkę, to Iwan

kładł go przy flasce z obawy, aby nie upadł na ziemię.

— A zakaście... I patrzcie, jaki mnie kłopot spotkał w same żniwa, w sam ogień. A ja, b i h m e, nie wiem, co z tego będzie? Czy mam zostawić żniwa, chodzić koło baby i dzieciom warzyć jeść, czy mam ich zostawić tu na bożej opiece i o głodzie ciągnąć kosę? Bo to już tak ze mną będzie, w taki czas nikt do chalupy nie przyjdzie, choćby za wielkie pieniądze. Naści Iwanie dziecko i raduj się, bo jeszcze ich mało masz!

— Nie udawajcie, kumie, i nie obrażajcie boga, bo to jego woia, nie wasza. A dzieci — piana na wodzie. Coś na nie zajdzie — i wyniesiecie wszystkie na cmentarz.

— U mnie nie zajdzie, ale tam, gdzie jest jedno, tam zajdzie. Żebrak najlepiejby zrobił, żeby się nie przytulał do żony, żeby nie spojrział w tę stronę, gdzie żona. Wtedy i pan bóg nie da...

— Darmo tak kumie gadacie — nigdy nie będzie, bo ludzie mają się płodzić.

— Żeby to ludzie, ale to żebraki się płodzą. A ja dlatego powiadam, że ty, dziadu, nie płódź się, nie mnoż się jak mysz, ty bądź kontent, jak masz łach na grzbiecie, jak masz kawałek chleba, żebyś z głodu nie zdechl, i jak cię nikt po pysku nie bije. Jak te trzy rzeczy masz, to powinno ci być dobrze, a od żony zdaleka.

— Kumie Iwanie, dajcież spokój, bo żona, jak zwyczajnie, w takim interesie nie powinna tego słu-

chać, bo takie gadanie nie przyczyni jej zdrowia. Zostawcie to na inne czasy.

— Ja was bardzo przepraszam za takie moje gadanie, ale wy miślicie, że ja o nią dbam? albo o siebie? B i h m e, nie dbam — niech ich choć zaraza wytłucze i mnie z nimi! Ou-wa, tobyśmy dopiero raj na ziemi stracili, majątki poostawiali!

Kumowie nie odzywali się już i nie przeczyli, bo widzieli, że nie przekonają Iwana, i chcieli, żeby się prędzej wygadał, to prędzej ich puści spać. Iwan wstał od stołu, stanął na środku izby, opuścił rękawy tak, jak dzieci na zapiecku, i zaczął do nich mówić:

— I czemu nie spadniecie mi z głowy? Ja wam otworzę i drzwi i okna, hej!..

Dzieci zasunęły się za piec tak, że ich już nie było widać.

— Adzisz, szarańcza, jeno chleba i chleba i chleba! A skądże ja ci tego chleba wezmę? Ta na ten dwunasty snop nie raz trzeba kosą pociągnąć, nie raz się schylić, a tu z boku ogień ci się za pazuchę sypie. Ta cię każde źdźbło w serce kole!

To było do dzieci, a teraz zwrócił się do kumów.

— A wieczór, jeno się pokażesz w chałupie taki, jak wiecheć, spocony, jak pomyjka, to oni ci w jeden głos, i żona i dzieci. Niema chleba! I ty biedny człowiecze nie idziesz spać, ale zdejmujesz cep i młócisz po ciemku, żeby jutro było co w żarna nasypać. Nie-raz cię ten cep na snop zwali, i drętwiejesz we śnie aż do rana, aż cię rosa przysiedzie. I jeno oczy przetrzesz, to cię zaraz ta rosa żre, bo mało cię już bieda

zre, jeszcze się ona w nocy najdzie! Przemyjesz oczy i wleciesz się na łąn, a takiś czarny, że słońce mierzchnie od ciebie.

— Nie gryźcie się dziećmi, Iwanie, bo to nie sami wy, ale bóg im starszym ojcem od was.

— Ja się z bógiem za plecy nie biorę, ale poco on to wypuszcza na świat, jak gołego w tarninę? Puści na ziemię, talentu w ręce nie da, manny z nieba nie ześle, a potem cały świat w krzyk: Chłopi złodzieje, rozbójnicy, gubią swoją duszę! Stanie sobie jeden z drugim w cerkwi, taki gładki, że muszka po nim nie polezie, i kadzi i grzmi. Wy, powiada, strachu bożego dzieci swoich nie uczycie, wy je sami posyłacie kraść... jej, gdzież ja potrafię tak hańbić! Hej, kieby tak koło mojego dziecka i mamka i niańka i d o b r o d z i e j k a chodziła, kieby mi tak ludzie wszystkiego naznosili, to i jabym, jegomość, wiedział jak dzieci uczyć! Ale moje dzieci razem z kurami na gnoju rosną, a jak co do czego przyjdzie, ot jak teraz, to nikt nie wie, co one cały dzień jadły. Czy kradną, czy żebrzą, czy pasą — skądże ja wiem? Ja siekę wasze łąny i nie ino o dzieciach zapominam, ale i o sobie! Wybyście chcieli, żebym i wasze łąny siekł i dzieci uczył. A wy od czego? Tak, ludzie, wy sami wiecie, jak się to u nas żyje...

— Wiemy, kumie, wiemy — jak nam nie wiedzieć, kiedy sami to życie paskudzimy.

— Ja patrzę na dziecko, ale nie myślę, żeby ono było grzeczne, żeby umiało w ład utrafić. Ja jeno miarkuję, czy ono się już dobrze na nogach trzyma,

żeby je wypchnąć na służbę — to tego ja czekam. Ja nie czekam, aż ono nabierze siły, aż rozumu nabierze, aż się rodziną nacieszy. Niech jeno bogacz abo pan pysk otworzy, to ja je zaraz zapcham, byle się go zbyć! A potem ono goni za chudobą — nogi: jedna rana, rosa żre, ściern kłuje, a ono goni — i płacze. Hej, zawróciłbyś ty mu chudobę, nogibyć mu wycalował, boś je splodził, i sumienie cię gryzie — ale ty je mijasz albo czasem i chowasz się przed nim, żebyś jego płaczu nie słyszał...

Aż krwią nabiegł, aż się zadyszał.

— I rośnie ono w żłobie, pod stołem albo i pod ławą, gryzie pieść, i zmywa się łzami. A podrośnie, to i ukradnie co, bo ono nigdy nie zaznało dobra i chce się nacieszyć kradzionym. Masz — przychodzi do ciebie żandarm. Skuje cię, nabije się ciebie, jakbyś był bydłciem, boś ty ojcem złodzieja i musisz być z nim w znowie. I jużes złodziej na wieki. Ale to nie koniec — reszta na początku. Niechby syn, wasze dziecko, a u ludzi złodziej, niechby zgnił w kryminale, bo złodzieja nie szkoda. Niechby! Ale oni mu zdrowie odbiorą i do szpitala go dadzą, a potem wysyłają pismo do wójta, żeby ojciec płacił koszta. Z chalupy wyganiają, pod płot wyrzucają ze wszystkim. Idziesz do wójta, po rękach go całujesz: Wójcie, wyciągnijcie mnie z tego nieszczęścia. Ty, powiada, wójt, biedny człowiek, to możnaby ci opuścić, ale jaką ja wygodę będę miał za twoją wygodę? Ruszysz plecyma, złożysz się jak scyzoryk i powiadasz: miesiąc

wam będę robił darmo... Tak, czy nie tak, ludzie, prawdę gadam, czy breszę jak pies!?

— Wszystko tak, cały gatunek taki, jednegoście słowa nie zmylili!

Iwan drżał cały — czuł na sobie ciężar swoich strasznych słów.

— Żebyście nie mówili, ludzie, że kraczę nad głowami swoich dzieci, jak kruk nad padliną — nie myślcie tak ludzie, nie myślcie! Ja nie kraczę, ja mówię prawdę, mój żal kracze, moje serce kracze!

Oczy jego zabłyśły i w nich odmalowała się straszna miłość ku dzieciom — szukał ich wzrokiem po izbie.

— Bo to tak wygląda, jakbym ja się pastwił nad swojemi dziećmi gorzej, niż największy wróg. A ja się, widzicie, nie pastwię — jam jeno wam rozgrzebał przed oczyma dzisiejszy dzień, i wczorajszy, i rok, i drugi, i popatrzyłem się na swoje dzieci, co one tam robią? A com ujrzał, tom powiedział. Jam poszedł do nich w gościnę, i krew moja zastygła na ich gospodarstwie...

Po chwili:

— Gdyby to do tej Kanady nie było mórz... to jabym je do wora zabrał i na piechtybym z nimi szedł, żeby je zanieść daleko od tej nędzy. Jabym te morza brzegami obchodził.

Kumowie zapomnieli o odpoczynku, ale teraz przypomnieli go sobie, postawiali czempredzej i poszli.

Rano.

Dzieci jadły śniadanie na ziemi, oblewały strawą koszuliny i szczykały łyżkami. Obok nich leżała matka, zbiedzona i żółta, z kolanami pod piersią. Po czarnych, nieczesanych włosach spływała męka i ból, a usta zaciskała, żeby nie krzyżeć. Dzieci z łyżkami w ustach zwracały się ku matce, patrzyły na nią i znów się obracały do miski.

— Semenku, już nie głodny?

— Już — odpowiedział sześćoletni chłopiec.

— To weź miotłę, pokrop ziemię i zamieć chałupę. Mama nie może się schylać, bo ją bardzo we wnętrzu boli. Nie rób dużo prochu.

— Ustąpcie się, bo nie mogę przez was zamiatać.

Matka dzwignęła się i zawlekła na pościel.

— Semenku, a teraz umyj się dobrze, i Katrusia niech się umyje, i Maryjka, i pobiegnij naczepnąć wody do dzbanka, ale żebyś nie wpadł do studni, nie bardzo się schylaj...

— Semenku, idź i narwij ogórków do rzeszota, żeby mama w garnku zakwasiła, bo widzę, że będę chora i nie będziecie mieli co z chlebem jeść. I narwij chrzaniu i wiśniowego liścia. A nie szarp badyli, jeno rwij przy samym ogonku...

— Semenku, zdejm z płota koszulki, żebym polatała, bo chodźcie czarni, jak wrony.

Semenko biegał ciągle, robił wszystko, co mama kazała i potraçał raz po raz młodsze siostry, mówiąc, że dziewczki nie umieją nic, jeno jeść.

— One jeszcze male, Semenku, jak urosną, to ci będą koszule prały.

— Ja się najmę, to tam mi będą koszule prali, a ich nie potrzebuję.

— Nie ciesz się, dziecino, służbą, bo nieraz będziesz płakał na swoje życie.

— A przecież tato wyrośli na służbie i nic im nie brakuje.

— I ty wyrośniesz na służbie, aż skóra na tobie popeka od tego wyrostu. Ale ty Semenie, nie gadaj, jeno zbieraj się tatowi nieść obiad. On tam musi być głodny taki, że oczy chce za tobą wypatrzeć.

— Ja muszę tatową palicę wziąć, żeby się od psów obronić.

— A jak zbudzisz, to nas tato oboje wybije. I nie chodź z gołą głową, ale weź choć tató wkapeluszu.

— Ten kapelusz ino na oczy lezie, że drogi nie widać.

— Wyjmij dzbanek i nalej barszczu.

— Już wy mnie, mamó, nie uczcie, bo ja wiem.

— Semenku, a uważaj, żeby cię psy nie pokąsały...

III

Po grubej warstwie prochu nogami drobił i zostawiał za sobą małe ślady, jak listki białych kwiatów.

— Fi, nim zajdę, to to słońce mnie porządnie wyparzy. Ale ja sobie zbiorę włosy tak, jak żołnierz, i będzie mi lepiej iść.

Położył obiad na drodze i zebrał włosy na wierzch głowy, aby je przykryć kapeluszem i wyglądać, jak ostrzyżony żołnierz. Oczy zaśmiały się, podskoczył i potoczył się dalej. Ale włosy zesuwały się z pod szerokiego kapelusza i zlatywały na kark.

— Na nic ten kapelusz — niechno ja się najmę, to wtedy sobie kapelusik...

Oblizwał się tylko. Uszedł szmat drogi i znów postawił obiad na ziemi.

— Muszę se wymalować koła ze sprychami.

Siadł w prochu na środku drogi i ciągnął wokół siebie kijem, a potem rysował w kole promienie. Wreszcie zerwał się, skoczył poza obwód i pobiegł dalej bardzo ucieszony.

Do każdego wrót się zakradał, zazierał, czy na podwórzu niema psa, i dopiero wtedy przebiegał prędko. Z jednego obejścia wybiegł pies i puścił się za nim. Semenکو ze strachu wrzasnął i siadł razem z obiadem. Kij upadł także na ziemię. Długo siedział skułony, czekając psa, żeby kąsał. Potem odważył się spojrzeć i zobaczył nad sobą czarnego kundysa, który stał przy nim spokojnie.

— Na, na, cygan, naści kuleszy, a nie kąsaj, bo to bardzo boli, a twój gazda będzie musiał zapłacić s z t r o f. To on ci nogi połamie za ten s z t r o f.

Szczypał z kuleszy po kawałku, rzucał psu i śmiał się, że ten chwyta w powietrzu. Pies miał otwarty pysk, i on sobie też usta otworzył.

— A ty czyj,, szubieniku, co psy przy drodze karmisz — a w pole co poniesiesz?

I jakaś kobieta kałatnęła go w kark.

— Jakże, to jeszcze mnie bijecie, jak mnie pies chciał rozedrzeć!

— A czyj że ty, taki grzeczny?

— Ja Iwana Piotrowego, ale mama mieli dziecko i słabi, a ja muszę nieść obiad, a mnie psy kąsają, a wy mnie jeszcze bijecie...

— Oj, straszniem cię biła... Gdzież ty niesiesz jeść?

— Tatowi niese, na łąn, koło stawu.

— To chodź-że ze mną, nędzo, bo ja tam też obiad niese.

Poszli razem.

— A kto obiad warzył?

— Mama warzyli, bo ja jeszcze nie umiem, a Marja i Katarzyna to jeszcze mniejsze odemnie.

— To mama nie słabi?

— Czemuby nie słabi? Tak się wiją po ziemi, tak stękają! że aż... Ale ja za nich robię.

— O — jaki robotnik!

— Wy nie wiecie i tak gadacie. A no zapytajcie się mamy, jaki ja mądry! Ja „ojczenasz“ cały umiem...

Kobieta rozśmiała się, a Semenko ruszył ramionami i zamilkł. Za nim biegł pies, a on mu niby to rzucał kuleszy i wabił za sobą.

IV

W trzy dni później.

Na środku izby siedział Semenko i siostry, i stało koryto z małym dzieckiem. Przy nich miska z zie-

lonymi, ukiszonymi ogórkami i chleb. Na pościeli leżała matka, obłożona świeżymi wierzbowymi gałązkami, a nad nią wrzał rój much.

— Pojedźcie se i siedźcie cicho, bo ja poniesę dziecko do Wasylichy, żeby nakarmiła. Tato kazał, żeby nieść rano, w południe i pod wieczór, a wieczór oni sami już przyjdą.

— Semenku, a nie rzuć dziecka.

— Ja myślał, żeście spali. Tato kazał wam dawać zimnej wody i bułkę do jedzenia. Marja taka grzeczna, że porwała tę bułkę i już raz ukąsiła. Alem ją zbił i odebrał. Będziecie jedli?

— Nie chcę.

— Tato wyszukali jeszcze świeczkę i powiadali, że jak będziecie umierali, to żeby wam dać do rąk i zaświecić. Kiedy ja nie wiem, kiedy dać?...

Matka popatrzyła na syna wielkimi, błyszczącymi oczyma.

Bezdeń smutku, wszystek żal i bezsilny strach zeszyły się razem w tych oczach i urodziły razem dwie białe łzy. Wybiegły na powieki i zamarzły.

— Tato też w izbie płakali i bili w odrzwia głową! Zapłakani wzięli kosę i tak poszli.

Wziął dziecko i wyszedł.

— Semenku, żebyś nie dał Katrusi, Maryjki i Wasylka macosze bić. Słyszysz? Bo macocha będzie was biła, od miski odganiała i nie da wam białych koszulek.

— Ja nie dam i tatowi każę.

— Nie pomoże nic, synku mój najmilszy, dziecino moja najzłotsza! Jak wyrośniesz, żebyście się między sobą bardzo kochali, bardzo, bardzo! Żebyś im pomagał, żebyś ich nie dał krzywdzić.

— Jak ja będę służył i będę duży, to ja ich nie dam, ja będę do nich co niedziela przychodził.

— Semenku, żebyś prosił taty — że mama nakazywała — żeby was kochał...

— Jedzcie bulkę.

— Śpiewaj dziecku, niech nie płacze.

Semenko kołysał dziecko, ale śpiewać nie umiał. A matka otarła dłonią suche usta i zaśpiewała.

Słabym, urywanym głosem wylewała się jej dusza i po cichutku spadała między dzieci, całując je po główkach. Ciche, niewyraźne słowa mówiły, że po pustym polu rozwiały się klonowe liście, i nikt ich pozbiierać nie zdoła, i nigdy one nie zazielenieją. Pieśń usiłowała wydostać się z chaty i pustym polem lecieć za liśćmi...

ZŁODZIEJ

Na środku chaty stało dwu rosłych, silnych chłopów. Koszule na nich podarte, twarze pokrwawione.

— Nie myśl ty, człowiecze, że ja cię z rąk puszczę...

Sapali obaj, byli pomęczeni i chwyтали piersiami powietrze. Przy pościeli sparła się młoda kobieta, przestraszona i zaspana.

— Nie stój, ale idź zaraz za Michałem i za Maksymem i powiedz, żeby zaraz przyszli, bo ja tu mam złodzieja w rękach.

Kobieta wyszła, a oni zostali.

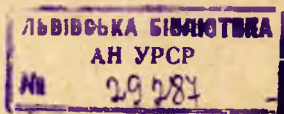
Jakby na słabszego trafił, toby ci we własnej chałupie życie odebrał.

Przystąpił do ławy, wziął kwartę wody i pił tak łakomie, że było słychać, jak mu w gardle bulkotała. Potem rękawem otarł twarz i, patrząc na złodzieja, mówił:

— Nie trza i cyrulika — tyleś krwi puścił.

Ale jeszcze nie domówił tych słów, kiedy złodziej uderzył go kulakiem między oczy.

— Ty bijesz, to i ja będę — ano, kto lepiej?



Zamachnął się bukowym, grubym polanem, i złodziej upadł na ziemię. Z nóg mu trysnęła krew.

— Uciekaj teraz, jak możesz, nie powiem ci ani słowa.

Długo milczeli. Mdłe światło kaganka nie mogło się przedrzeć przez mroki po kątach, a muchy zaczęły nieśmiało przygrywać.

— Zatamajże se krew, człowiecze, bo wszystka ucieknie.

— Daj mi, gazdo, wody.

— Dam ci wody, pokrzep się, bo nie wiesz, co cię czeka.

Długie milczenie.

— Ty, widzę, mocny, gazdo.

— Ja mocny, nieboże, ja konia na plecy biore, niedobrześ na mnie trafił.

— A naturę, to masz mietką?

— Ja miętki, ale złodzieja żywego z rąk nie puszczam!

— To ja już tu muszę zginąć?

— Albo ja wiem, czyś ty twardy, czy miętki? Jakżeś twardy, to możesz wytrzymać...

I znowu w niskiej chacie zapanowała cisza.

— Zatamaj se krew.

— Poco, żeby więcej bolało, jak będziesz bił? Krew, to sam ból.

— Jak ja już zacznę bić, to musi boleć, chybabyś duszę wypuścił.

— A nie boisz ty się boga?

— A tyś się bał boga, kiedyś laźł do komory? Taż tam mój cały dobytek — taż jakbyś ty był to zabrał, tobyś mnie na wieki wieków skaleczył! A czemuż ty nie leziesz do bogacza, jeno do biednego?

— Przepadło, niema co gadać! Bij i daj mi spokój.

— Pewnie, że będę bił.

Na podłodze utworzyła się kaluża krwi.

— A ty jak masz sumienie, gazdo, to nie zabijaj powoli, jeno weź to połano, a gruchnij jeszcze tak w łeb, jak po nogach, to zbędziesz się kłopotu, a mnie będzie lżej.

— Tybyś chciał odrazu! Czekaj, czekaj, nie można, niech ludzie przyjdą.

— To ty chcesz dobrym sąsiadom zrobić bał?

— Już idą.

— Sława jsu!

— Na wiki sława.

— U was, Giorgiju, coś się przytrafiło?

— Ta, trafiło się, przyszedł gość, to trza go przyjąć.

— Pewnie, że trza.

Maksym i Michajło zajęli sobą całą chałupę, a głowami sięgali powały.

— Siadajcie i wybaczcie, zem wam noc zepsuł.

— To to o n na ziemi?

— On.

— Chłop, jak zwierz — mieliście dość roboty, ni-meście go w chałupie zmieścili?

— Mocny, ej, dobrze mocny, ale na mocniejszego trafił. Ale nim co do czego przyjdzie, siadźcie za stół i proście gościa.

Giorgij wyszedł i za chwilę przyniósł butlę wódki, słoninę i chleb.

— A czemu i jego za stół nie weźmiecie?

— Powiada, że nie wstanie.

— To ja mu pomogę.

I gazda wziął złodzieja pod pachy i posadził go za stół.

— Toście już i w chałupie mieli z nim sprzeczkę, Giorgiju?

— Chciał mnie ogłuszyć. Jak mnie palnął kułakiem między oczy, to powiadam wam, tuj tuj, a małom się nie zwałił. Alem namacał polano koło siebie i jak go nie ściągnę po nóżkach — aże siadł na dobre.

— Wy mu się nie dziwujcie, bo kaźden chce się ratować.

— Ja też nic nie gadam.

Złodziej siedział za stołem blady, apatyczny, koło niego Maksym, a dalej Michajło. Koło pieca stała baba w kożuchu.

— Giorgiju, co ty chcesz z nim zrobić? Ludzie, upamiętajcie go, on chce człowieka zabić.

— Jo widzę, babo, że ty się boisz. Idź ty se do matki, przenocuj, a jutro przyjdiesz.

— Ja nie ustąpię z chałupy!

— To pij z nami, a nie jęcz, bo spiekę. Leż na piec i śpij, albo się patrz, albo jak chcesz.

Ani się ruszyła od pieca.

— Baba babą, Giorgiju, ona się bójkki boi, jak żyd, nie dziwujcie się.

— E, co mamy na babę patrzeć: daj boże zdrowia, człowiecze, piję do ciebie. Nie wiem, kto za kogo będzie miał grzech — czy ty za mnie, czy ja za ciebie? Ale grzech musi być, tak się stało, że się bez grzechu nie obejdzie. No, pij.

— Nie chcę.

— Musisz pić, jak ja proszę. Gorzałka cię trochę upamięta, boś het osłabł.

— Ja nie chcę pić z wami.

Wszyscy trzej chłopci zwrócili się do złodzieja. Zawzięte, czarne oczy wróżyły mu zgubę.

— To dawaj, niech będzie, ale pięć porcji odrazu.

— Pij, a jak nam zabraknie, to jeszcze pošlemy. Raz po raz nalewał i wypił sześć kieliszków. Potem pili Michajło i Maksym. Przegryzali i znów pili. Michajło:

— Powiedzże nam, człowiecze, skądżeś tu zabrął w naszą wieś, czyś ty zbliska, czy zdaleka?

— Ja ze świata.

— A jak ty, czy naszej, chłopskiej kondycji, czy mieszczańskiej, czy pańskiej? Bo się inaczej do ciebie zastosujemy. Chłopa, to tak się bije: że trzy razy luśnią po łbie i parę razy w pysk, żeby upadł. Bo chłop twardy, do niego trza się twardo brać, ale jak on już pod nogami, to robota letka. A pana, to się rychtuje znowu na inszą modę: luśni nie pokazuj, bo zemrze odrazu, ale batem go

postrasz. A kiedy on dygoce na całym ciele, to daj dwa razy w mordę, ale też nie za mocno: pan już pod nogami! Pochódź po nim trochę, minutę, dwie — i gotowy. Żebra starte na chróst, bo to kostka białuśka, jak papier. A żyda, to na pierwszy ogień bierziesz za pejsy — on skacze, pluje, kurczy się jak ta sprężyna. Ale ty na to nie patrzysz, jeno zakładasz wielki palec między dwa mniejsze i sztorcem go popod żebra, wsze sztorcem. Letka bitka, ale barz boląca...

Gazdowie zaśmiali się ciężko, tepo, a Michajło przechylił głowę poza Maksyma i czekał, co złodziej powie.

— No, do jakiej wiary przystajesz?

— To, gazdo, tak jest, że jak wy gorzałkę pijecie, to już mnie żadnym sposobem żywego z rąk nie puścicie.

— Prawdę powiadasz, b i h m e, prawdę, zato cię lubię!

— A nim zabijecie, to dajcie jeszcze gorzałki, niech się upiję, żebym nie wiedział kiedy i jak.

— Pij, na taką sprawę, pij, ja nie bronię, ale żeś ty na mnie trafił — bodaj cię bóg skarał! Mój-ty, ja twardy, ja z kamienia, już ciebie nikt z moich rąk nie wyrwie!

Złodziej wypił jeszcze pięć kieliszków.

— Bijcie ile chcecie, ja już gotowy.

— Czekaj, bracie, dobrze, żeś ty już kontent, ale my jeszcze nie kontentni — ty pięć, a my po jednemu. Dogonimy cię, to zaczniemy gadać.

Michajło patrzył się bardzo wesoło, Maksym myślał o czymś, o czym się bał głośno mówić, Giorgij był niespokojny.

— Widzę, ludzie, że będzie bieda, ustąpiłbym het, a tu mnie coś do niego ciągnie, łańcuchami ciągnie... No, no, pijmy, przekąśmy.

— Gazdo, dajcie, niech was w rękę pocałuję — rzekł złodziej do Maksyma.

— Ou, człowiecze, ty się coś bardzo boisz, ou, to niepięknie!

— Bihme nie boję się was, bihme i sto razy się zaknę, że się nie boję!

— A cóż?

— Jakoś mi się teraz na duszy letko stało i chcę tego gazdę w rękę pocałować; on siwy człek, ojcemby mi mógł być...

— Człowiecze, ostaw mnie, bo ja miętki, na sumienie, ja nie chcę, co ci po mnie.

— Ale dajcie rękę, bo będziecie mieli grzech, ja was chcę pocałować, jak rodzonego ojca...

— Ja całkiem miętki, człowiecze, nie całuj mnie. Michajło i Giorgij aż gęby pootwierali i przestali pić. Zjeżyli włosy i nie wierzyli swoim uszom.

— Oczy mydli, czego on chce? Ty, nieboże, takiego sposobu zażywasz, e, my i na to mądrzy!

Maksym wytrzeszczył oczy jak baran, nie rozumiejąc, co się dzieje.

— Zmiarkował, że ja miętki i zaraz pomyślał... Mówił, żeby się usprawiedliwić.

— Dajcie, dajcie, gazdo, rękę, ale ze szczerzego serca, bo jak was pocałuję, to mi będzie lżej: ja widzę, że mi już nie chodzić po świecie i chcę się z wami pogodzić.

— Ty mnie nie całuj, bo ja het zmięknę, ja ci i tak przebaczę.

— Ale ja was bardzo proszę, bo ja mam okrutnie ciężko umierać, bo ja jeszcze nikogo w rękę nie całował, żeby tak ze sercem. Ja nie pijany, bihme, nie, ale ja tak chcę...

— Cicho, mój ty nie skomlij, nie podchodź z daleka, bo jak grzmotnę, to ani drgniesz!

— Kiedy bo wy myślicie, że ja ćmię, a ja, bihme, prawdę gadam. Ja, widzicie, jakem się napił gorzałki, to mi tak w głowie zaświeciło, że ja mam zginąć i tego gazdę w rękę pocałować, żeby mi bóg grzechy zmniejszył. Dajcie rękę, gazdo... każcie wy, niech da.

— Czego ten człowiek odemnie chce, kiedy ja nie poradzę, bo ja taki żałośliwy, zem tego ścierpieć nie zdolen...

Maksym nie wiedział, gdzie się podzieć, co ze sobą zrobić w tym kłopotcie. Wstydził się, jak dziewczyna.

— Z miętkim to zawdy tak, wsze on u ludzi w pośmiewisku, taka natura paskudna! Ta wy wiecie, że jak się trochę gorzałki napiję, to płaczę. Taki nie trza było mnie tu wołać, bo ja, wiecie, taki jak przędziwo!

Złodziej chciał wziąć Maksymową rękę, aby ją pocałować.

— Ten złodziej chce nas sztuką zająć. Idźcie, Maksymie, het od niego, ustąpcie się.

— Dajcie gorzalki, Giorgiju, pijmy sporzej, żeby my już raz złości dostali — rzekł Michajło.

— Nie chodźcie, Maksymie, nie chodźcie, wujku, odemnie, bo ja zaraz umrę. Ja się nie boję, bihme nie boję się, jeno mnie taki niepokój szarpie...

Zaczął drzeć na całym ciele, a usta się trzęsły, jak żywe. Michajło i Giorgij pili wódkę i nie patrzyli na niego.

— Czego ty się boisz, niema czego, ja ci dam rękę pocałować, już dam, niech mnie i zabiją, już dam, na, całuj, jak chcesz...

Złodziej przyłgnął do ręki, a Maksym łypał oczyma tak, jakby go kto raz wraz bił po twarzy.

— Miętkim nigdy nie warto być, bo miętki człek do niczego nie zdatny...

Michajło rozstawił wszystkie palce u rąk i pokazywał Giorgijowi.

— Mój ty, mój ty, takie mocne, takie na bitkę łakome, że strach, jakie łakome — kędy uczepią, tam z mięsem rwą!

A Giorgij nie mówił nic, jeno co chwila spluwał w garść i wódkę nalewał.

— Dość już, nieboże, dość, puść, niech sobie pójdę, bo tu niema boga, ja na taką sprawę nie mogę patrzeć. Wyciągnij ręce z-za pazuchy, nie obejmuj, nie, puść, bo mi taki wstyd, że nie wiem, kędy się podzieć.

jeszcze próg, ja chcę wszystkich, wszystkich, gdzie kto jest na świecie! — krzyczał złodziej.

Kobieta zeskoczyła z pieca i uciekła. Michajło wyszedł z za stołu czarny i pijany, jak noc, Giorgij stał i przypominał sobie, co on to miał robić.

— Maksymie, wy mi się z chaty wynoście, żebym was tu nie widział, bo ubiję, jak wróbla; no, zabierajcie się!

— Ja pójdę, Giorgiju, ja wam nic nie gadam, ale wy się nie gniewajcie, bo wiecie, zem miętki człowiek. Mnie się tak zdaje, że będziecie mieli grzech, ja sobie idę...

— Idźcie, idźcie, boście nie chłop, a ślamazarna baba.

— Ta ja powiadam, że ja nie do tego, ja...

Podniósł się i wyszedł z za stołu.

— Bądźcie zdrowi, a nie gniewajcie się, bo ja, jak jakiś powiedział, nie do tego...

Za stołem ostał sam złodziej, blady, ale dość swobodny.

— A ty wyjdiesz z za stołu, czy trza cię stamtąd wynosić?

— Ja nie wyjdę, ja widzę, że nie wyjdę, bo ja mam tu pod obrazami siedzieć.

— Oj, wyjdiesz, bihme wyjdiesz, bo my cię poprosimy!

I rzucili się na niego, jak głodne wilki.

PODPALACZ

I

Bogacz sielski, Andrzej Kuroczka, siedział przy stole i obiadował — raczej nie obiadował, ale dławił się każdym kęsem. Domowa czeladź wchodziła do chaty, wносиła zabłocone cebry, swarzyła się przytem i wносиła je między chudobę. Bogackie dzieci i sługi były brudne, marne; dźwigały na sobie nieociosane i ciężkie jarzmo chłopskiego bogactwa, które nigdy nie daje spokoju, ani radości nijakiej. Sam bogacz najgorzej dreczył się w tym jarzmie, najchętniej przeklinał swoją dolę i nieustannie poganiał dziećmi i czeladzią.

Koło niego na ławie pod oknem siedział jego długoletni robotnik, stary Fedor.

— Ja nigdy nie mam takiej szczęśliwej godziny, abym mógł spokojnie kęsiek chleba przełknąć. Człek lata i ugania, to ino pozierajcie, jak padnę gdzieś i zdęchnę. Jakże mi to jedzenie ma na smak iść, jak ja widzę, że oni bezemnie w stodole nic nie robią? Ino aby się najeść i dzień przepróżniaczyć. Co tu ga-

dać cudzym, jak swoje dzieci — i one nie chcą robić! Ja, bihme, nie wiem, jak ten naród ma na świecie żyć? Wszystko pójdzie na żebry...

I darł się, aż mu oczy na wierzch wylaziły.

— A wyście czemu, Fedorze, nadeszli?

— Wy nie wiecie, jakie nasze zajście: zima idzie, a ja bosakiem chodzę; dajcie mi ze dwa srebrniki na odrobek...

— A wy — cudni roboty? Już wasza robota skończyła się, Fedorze.

— Niechbym i nie robił, kieby ino kto dał jeść za darmo.

— To bo nie! Dziś za darmo jeść nie dają, dziś wasza robota i jadła nie warta, taka to ta robota! A gadałem wam: Najmijcież mi dziewczkę, bylibyście teraz mieli swoje pieniądze.

— Cóż, kiedy nie chciała i poszła do dworu.

— Taże pewnie, kto nie chce robić, to się pcha do dwora; bo choć się tam nie naje, ale się walać może. Biedni ludzie tacy ponastali, co ino aby raz na dzień zjadł, ale coby nic nie robił, to wtedy raj! Jak robią, tak mają, tak im bóg błogosławi. Dziś trzaby się w powrózek okręcić, aby coś mieć... Ta te dwa srebrniki ja wam jeszcze dam, co będę z wami robił, może się jakoś opędzicie, ale więcej nie przychodźcie i nie banujcie, bo nie dam. Sami widzicie, że wasza robota już na nic..

— Ta ja, Andrzej, muszę się przy ludziach tułać, a gdzież ja się podzieje?

— Podziewajcie się, gdzie chcecie, a między gazdów wyście już niezdatni. Szukajcie sobie służby u żyda, albo u pana — tam robota lepsza.

— To wy mi fajnie radzicie! Jak ja przy was siłę stracił, aby ja szedł na starość żydom wodę nosić.

— Za darmoście mi nie robili.

— Eh, bywajcie zdrowi.

I Fedor wyszedł z chaty.

— No, ta te żebraki wszystkoby zabrały! Takie to dychawiczne, chore, zaślinione, że cepa w rękach nie zdoła udziżyć, a jeszcze się kokosi! Idź-że na złamanie karku... Myśli, że ja pieniądze kuje, abo kradnę!

Fedor czałapał ku swojej chacie i nie przestawał szeptać.

— A jak, Andryjku, gdzie ja siłę puścił? Czy ja ją przetańcował, czy ja ją przepił? Taże wszystka ona siła u ciebie, na twoim podwórku. A jak, Andryjku, gdzie ja siłę puścił?

W chacie zrzucił czoboty i legł na pościeli. Leżał do samego wieczora i bez wieczerzy zasnął. Ale jeszcze kury nie piały, jak się zerwał, uderzył nogami o deski, znów legł i znowu się zerwał. Przez małe okienko patrzyła nań jesienna noc. Dyc to i nie noc, ale czarna troska, co snuła się po węglach chaty i patrzyła się na niego siwym, niemiłosiernym okiem. Ono go tak zniewoliło, że nie mógł się ruszyć, i pokazywało mu to obrazy w oknie, to przywidzenia w powietrzu.

Oto siedzi on między małeńkimi żydkami, do-
ziera ich, piastuje, a one go ciągną za czuprynę i plują
mu w twarz.

...To znów klęczy w cerkwi, w tym kącie, gdzie
żebraki czołami o podłogę biją. On uderza jeszcze
głośniej, a niewiasty podchodzą ku niemu i dają każda
po bochenku chleba. On je kładzie za pazuchę, kła-
dzie — i staje się taki szeroki, że aż ludzie rozstę-
pują się. A jemu wstyd! Sto świdrów idzie w serce
z ludzkich oczu...

O, znów idzie ogrodem Kuroczki — nie idzie,
a skrada się chyłkiem pod stodołę. Wyciąga snopek ze
strzechy, nasypuje węń watry z fajki i ucieka, ucieka...
Czuje poza sobą, jak gdyby oczyma widział, jak zpod
strzechy wylizuje się małeńki, czerwony języczek, wy-
lizuje się i chowa...

— Oj, joj! joj!

Ten języczek zapiekł w sam mózg. Całą siłą
oswobodził się z niewidomych więzów, zerwał się
i popatrzył w okienko. Ono, jak kat, przesywało go
nawskróż. Znów zwali i będzie mordować swoimi
obrazami. Przestraszył się, nie widział nijakiego
wyjścia — zwrócił się, aby gdzieś uciec. I przed nim
jakby jakieś wrota otworzyły się, stało mu się lżej,
a on czemprędzej podał się w nie...

II.

Może miał szesnaście lat, jak szedł ze swojego
sioła. Takiego jasnego dnia, takiego wesołego słońca
już nigdy potem nie widział. Słonko pieściło zielone
trawy, sine lasy i białe potoki. Oglądnął się za siołem.

Żeby kto przyszedł i rzekł mu jedno słowo — wróciłby się, oj, wróciłby się wartko!

— On mnie bije, katuje, jeść nie daje, niczym nie przyodzieje — leciała jego skarga po zielonych trawach.

— Bodaj że was, tatusiu, ziemia nie pożarła!

I jeszcze skorzej poszedł. Minął sielskie pola, pominął jeszcze dwa sioła i ze wzgórza obaczył miasto, co wyłoskiwało się naprzeciw słońca, jak błyszcząca żmija.

Wszyscy dziwowali się jego sile i bali się. Żydzi nie potracali, a robotnicy nie brali go na śmiech i nie robili zbytków. Prał ciężkimi worami, jak kluskami — dzień ode dnia — to z wozu do szpichlerza, to ze szpichlerza na wóz.

— Grzbiet mi pęka od tych worów!

— Pij gorzałkę, to scierpnie.

I rzeczywiście od gorzałki grzbiet scierpnął, jakby ręką odjął, odeszło.

A w niedzielę i święta szedł z towarzystwem do szynku. Te szynki stały za miastem, między siołem a miastem. Kto w siole nie miał przytulku, ten wędrował nasamprzód tu, a kto nie miał co w mieście robić, także tu powracał. Bo to nie było ani sioło, ani miasto.

Bywały tam zabawy po tych szynkach!

Zrazu pany z miasta przewodziły. Rozповідаły o swoich dawnych dostatkach, o tym, wiele z cesarskiej kasy co pierwszego pieniędzy pobierali, jakie stroje nosili i t. d. Chłopy słuchały, częstowały ich

gorzalką z wielkiej poszany. Ale jak se trochę podpily, to wyłamywały się z pod moralnej władzy i wtedy panom ciężko przychodziło...

— Ano, pany, ochota! Łapcie się za szyję i hulajcie nam tu polki, niech widzimy, jak się to między takim wielkim państwem dzieje!..

Pany hulaly, bo musiały, chłopcy obstąpiły ich kołem i rechotały, aż karczma dudniła.

— Hopa duś!

— Jeszcze raz!

— A po lekku, sprawnie, wraz!

— Hou, dość!.. Teraz pijcie gorzalkę, zabierajcie swoje wszy po kieszeniach i marsz z karczmy, bo chłopcy chcą se sami między sobą pohulać!

I pany, jak zające, wymykały się.

— Ja tych panów umiem rychtować, to takie letkie, jak pierze: dmuchnij a już go niema.

— Hej, żydzie, dawaj wódki, daj wina, daj haraku, bo my się dobrze znamy!

Żyd prędziutko stawiał wszystko na stół i zaraz odbierał pieniądze.

— Ty, Beznogi, ty czego beczysz? za nogą? Pij, a zaprzyj se gębę, bo u mnie zabawa!

Beznogi jeszcze głośniej zaryczał.

— Cicho, bo biję!

— Nie rusz!

— A to który, co?!

— A ty co za pan?

Fedor wstał z za stołu i trzasnął tego ochoczego w lice.

— Ty w niedzielę pieresz? Ta to grzech!

I uderzeniem ławki zwałił Fedora na ziemię. Powstały dwie partje. W karczmie wszystko zawieruszyło się. Żyd uciekł, gorzalka bulkotała po ziemi, stoły i ławki poczerwieniały od krwi i, połamane, padały. A w błocie ze śliny, gorzalki i krwi leżały obie partje i stękały. Jeden Beznogi siedział w kącie i ryczał, jak wół — nie wiedzieć za kim i za czym.

Niebawem przybiegła policja i poczęła ich trzeźwić. Z wielką biedą podejmowała na nogi, potem jednym zamachem zwałowała z nich. Bractwo padało jak dęby, a podnosiło się, jak glina. Jak byli wszyscy już dobrze trzeźwi, to prowadzono ich do aresztu.

*

Jechał drogą pomiędzy polami na stosie worków. Pszenice i żyta, jak złote i srebrne gaje pod lekkim wiatrem kłoniły się ku sobie. Po złocie i po srebrze pływały lekkie czarne chmurki, jak cienka, jedwabna sieć. Morze słońca w morzu bezmiernych łąnów. Ziemia pokłosem dzwoniła, śpiewała słowami, gwarzyła.

— Moszku, nalejcie, bo ja sobie idę het!..

Zeskoczył z wozu i poszedł miedzami pomiędzy żytami. Na wieczór zaszedł do Andrzeja Kuroczki.

— Ty pewno abo złodziej, abo łajdak, bo dobry nie idzie ze swojego siola i nie błąka się światami!

Będziecie widzieć. Tatuś, co po pańszczyźnie nie przepili, to za głodnych roków poprzedali, potem zięcia przyjęli i pomarli; a zięć mię dotąd bił, ażem wziął i uciekł z chaty...

— A u was, u Bojków, baczę, krowami orzą?

— Nie, to widać jeszcze za nami Niemcy krowy zaprzęgają.

— To zzuź obuwie i wynieś kożuszyne z izby, abyś nie napuścił nędzy, ta i licha. A cerkiew u was taka, jak u nas? I ksiądz jest?

— Tak, samo, jak i u was.

— Ta będę widział, jak się udasz. Nie będziesz obraźliwy, a roboty nie będziesz się bał, to cię najmę.

I najął się. Sióło poznało go, że nie złodziej, że robotnik dobry, że się stara o siebie, i przyjęło za swego. A on się dowiedział, jak się które pole nazywa, czyje ono, czy wymaka, czy wysycha, który w sióle najlepszy złodziej, który największy bogacz — i zrobił się sielski.

Posłużył kilka lat, a dobrzy ludzie zaczęli mu radzić, aby się stał gazdą.

— Ty nie bądź głupi, a jak daje kawałeczek ogrodu, a dziewczka rosła i okazała, to bierz. A masz pieniądz zasłużony, a jeszcze przyrobisz, to postaw sobie chatę. A niech ona będzie jak chlew, ale twoja! A czy deszcz, czy zima, czy tak i tak niema roboty, to już ty nie kukasz z za bogackiego węgla i nie gniesz po żłobach, bo masz swój ką. Słuchaj mnie starego...

*

Ożenił się, budował chatę i trzaskał od roboty, od swojej i cudzej. Nosił deski z miasta na plecach, obrabiał stare snopki, co wieją na strzesze, i zarabiał pieniądze, to na okna, to na drzwi. Dwa roki minęło, zaczęł postawił chatę. Chatczyna maleńka, niepo-

każna, wyglądała między drugimi chatami, jakby kto puścił między gromadę harnych ptaków wypierzoną kurkę.

Ale Fedorowi i taka była miła...

*

Minęło kilkanaście lat, a przed Fedorową chatę przynieśli ludzie czerwone chorągwie. W chatcie na ławie leżała jego Katarzyna, wielga i gruba, aże straszna. Fedor trzymał przy sobie dwoje dziewcząt: jedenastoletnią Naścię i ośmioletnią Maryjkę i wciąż się ich pytał: co będziemy, donki, bez mamy robili? Która z was ojcu obiad zwarzy?

A jak żonę kładli w trumnę, to on zapłakał.

— Bierzcie ją po lekku, bo ciało u niej bardzo zboleło. Oj, Katarzyno, ja jeszcze nie zdążył dobrze nagadać się z tobą, a tyś się rozgniewała i poszła odemnie.

Przypadł do nieboszczki i całował ją w lice.

— Ludzie, ludzie, ja do niej nigdy słowa nie zagadał, ja przez ciągłą robotę o niej zabaczył. Daruj mi, daruj Katarzyno, przyjacielu mój dobry!

Płacz niewiast wybiegł z chaty daleko na sioło.

— Ona, ludzie, jak poszła za mnie, to tak, jakby pod wodę wpadła, nikt jej już nie widział między ludźmy. Aż teraz wynurzyła się wśród was — na ławie. Ja do niej nigdy marnego słowa nie zagadał, małego słówka!

*

I znów minęło kilka lat. Jednego wieczora przyszła ze służby Naścia. Fedor popatrzał na nią i zbladł.

— Naściu, niebogo, tyś sama, a gdzież twój chłop?

Naścia zapłakała, zawiodła, a on słowa więcej nie wyrzekł. Aż jak ją odprowadził do miasta na służbę i rozchodził się z nią, to wtedy przemówił.

— Daj ci boże, dziecino, jaknajlepiej, ale patrz, abys dziecka nie straciła, bo wstydu już nie pokryjesz, a grzechu nieodpuszczonego się dokupisz. Ta donoś przecie czasem, jak ci tu będzie...

A lata szły, nie stały. Fedor nie wypuszczał z rąk cepa całą zimę, pługa nie popuścił całą wiosną, a kosy całe lato. Niedziela ino stawiała na poratunek, bo w niedzielę szedł pod wisnię, legał na zielonej trawie, a ona wysysała w ziemię ten ból. Ta przyszedł taki czas, że niedziela nie mogła wyssać tego bólu, co się zapiekł w starych kościach. Do tego przymieszał się kaszel i nie opuścił go ani przy kosie, ani przy pługu, ani też przy cepie..

.....
Rozwidniło się, okienko pobieleło, a Fedor powrócił z dalekiej wędrówki swego minionego życia. Umył się, zmówił pacierz i zabierał się do dworu.

— Najmę się u pana od wiosny; wezmę na czo-boty i trochę ornarji, ta jakoś przezimuję, zanim się do tej służby zaprzęgnę.

III

Wijące się po siole białe, wąskie ścieżki wszystkie chaty powiązały w kupę, jedna Fedorowa chata stała poza siecią ścieżek, jak pustka. Fedor zimował,

jak niedźwiedź. Rano wstawał na godzinę, aby zamoczyć i zwarzyć sobie jadło, a potem cały dzień i całą noc przeleżał na piecu. Czem dalej zachodziło w zimę, tym bardziej schodził na dziecinny rozum.

— Teraz, Fedorze, niebogo, wstań, ukrój sobie kromeczkę chleba, ale cieniutką, pańską, boś, widzę, już zgłodniał.

Śmiał się, zląził z pieca i krajał kromkę chleba, ta patrzył przez nią w okno, czy sprawiedliwie pańska.

A w ciemne, zimowe noce wołał głośno na całą izbę, gadał straszne rzeczy.

— Sióło wymarło co do nogi, nie gadam bajek, nie chcę nawet patrzeć w tę stronę!

Ale własne słowa przejmowały go lękiem, potniał ze strachu i zeskakiwał z pieca do okienka, by się przekonać, czy się w karczmie świeci. Uspokoiwszy się pomału, wracał na piec.

A jak w nocy przebudzał się ze snu, to nie mógł się nijak opamiętać, zapomniał się doznaku, aże skoro pięściami uderzył o belek, dopiero wtedy przychodził do siebie.

Tej zimy jego chata zapełniła się upiorami, przywidami i marami. Tak se hulały po izbie, jak zwykone dzieci. Wylatywały do sieni i wystudzały izbę, to przez piec wybiegały na strych i tłukły się, aż się powała łupiała, to znów dzwoniły w oknie, aby go w pole zmącić. On się nie dawał zwieść i postanowił się nie bać; wtedy one wybiegały na piec, szczypały go, dusiły i w usta zapychały onuczki. Jednej nocy

zleciały się do chaty wszystkie czarty. Hulały, aż chata drżała, a wiatery takie zrobiły, że on zamarzał na piecu. Potem posiadły za stołem i powywalały ze zmęczenia języki, takie same, jak ten maleńki języczek, co go Fedor podłożył pod Kuroczkową stodolę. Leżał prawie nieżywy, aż jak kury zapiały, wtedy ledwo zgratał się i począł mówić pacierze. Ale one i przy pacierzu nie dawały mu spokoju. Nie mógł przybaczyć tych modlitew, które najlepiej znał, zapomniał nawet przeżegnać się. Te mary tak go zmordowały, że jak nadeszła wiosna, to już ledwo dychał; pobierał cały, jak papier.

— Trzeba wziąć pieniędzy, skąd się da i poświęcić chatę, bo tu nieczyste zlało się z całego sioła na kupę. Wypily ze mnie krew doznaku, te mary przekłete...

Jak ino wiosniane słońce zabłysło, smarował czoboty, latał koszulę, kręcił sznury do kierpicy i cieszył się, że już raz pójdzie do służby.

— Ubierę się, obuję fajno, i do dwora! Proszę wielmożnego pana, melduję się do pańskiej służby...

— Dobrze, Fedorze — gdzieś odpowiada jemu pan — ty, widzę, człek obyty, kiedy sam podług przepisu meldujesz się...

I Fedor, latając koszulę, uśmiechnął się słodko.

IV

Fedor stał w progu pańskiego gumna i patrzył smutno za rzędem plugów, co się wysuwał z bramy, jak łańcuch, w którym żelazo spajało mięso ludzkie z mięsem wołów.

— Skończyło się już moje oranie! Stare ogniwo, to i wyrzucili, bo łańcuch urwałby się wśród drogi...

Pokiwał głową i poszedł do stodoły brać świniom ziarno. Przez cały dzień na gumnie było cicho. Ino od służebniczych izb dochodziły krzyki bab i lament dzieci.

Jakby kto z siola powybierał co najgorsze chatki, a do nich zagnał najbardziej obdartych chłopów i najzłociejšie baby, dodając jeszcze goły drobiazg — i to wszystko razem zebrał na kupe, to miałyby prawdziwy obraz najemniczych chatek z ich mieszkańcami.

Fedor z gumna patrzył na te chatki i czemuś przeczył głową.

— A gdzież jaby tam szedł w takie piekło! Ja sobie będę spał w stajni — teraz zimy niema. Nie pójde ja tam w tę przepaść...

Wieczorem poszedł do stajni. Koło żłobu stały woły dwiema długimi ławami i leniwo przeżuwały siano. Przy każdym cztery siedział poganiacz i dozierał, aby pod siebie nie wyrzucały. Między temi ławami siedzieli na ziemi zapłużnicy i osiewacze. Łatali sobie obuwie, ściągali powrózkami swoje serdaczyny i naprawiali istyki. Każdy dlubał koło czegoś. Przy nich usiadł Fedor.. Oni jeden za drugim padali na słomę, za nimi przewracali się w żłoby poganiacze, a za przykładem poganiaczy poszli zapłużnicy. W stajni zapanował ciężki odpoczynek, co po udreće z zaoranych łąnów pada na stajnię, jak ciężki kamień. Fedor też zasnął się przed woły.

— Świniarzu, hej, świniarzu, a marsz z przed wołów między świnię! Może ci jeszcze łóżko postawić! Twoja Maryjka dobrze nas rychtuje. Zmamrała się z furmanem i wydaje mu co najlepsze, ta jeszcześ i ty przylazł na naszą głowę? Marsz z przed wołów!

Fedor wygramolił się ze żłobu i legł przy drzwiach na wiązce słomy. Zapomniana krzywda w tej chwili ozwała się.

— Grzech będziesz miał za mnie, Andrzeju, grzech...

Stajnia stękała, poziewała, przez sen gaworzyła. Tak ciężko dyszła, jakby gdzieś głęboko, w ziemi, dusiło się tysiące ludzi.

— Módl się za mnie, niech mnie pan bóg strzeże, niech mi da lepszy rozum, bo cię upiekę w ogniu, jak paciuka, bo będziesz trzy dni popiół za swoim bogactwem zgarnował...

Nad ranem i on stoczył się w czarną przepaść stajennego snu.

V

Nigdy już polem Fedor nie zachodził do stajni i nie gadał z najmitami. Spał w stodole i nie pokazywał się na oczy. Po wielkanocy Marja wydała się za furmana i przeszła z nim na służbę do drugiego pana. Fedor wyszedł z nimi za bramę i pożegnał się.

— Marjo, a pamiętaj, że ja chatę przy ludziach Naści odkażę, abys ty jej nie wagnała, bo ona biedna, sierota, sama samiutka!

I wrócił się. W chlewie, aby nikt nie widział, zapłakał.

— Teraz żyj z kim chcesz!

Tego dnia jeszcze upił się i poszedł do stajni.

— Mój ty, skarbowianie, teraz mnie nikt nie wygoni, bo już moja Marja powędrawała.

— Ktoby was wyganiał, ot legajcie na spód, jakęście nałali pełną głowę.

— Pewnie, że pijanemu dobrze spać, tak i bóg przykazał. Ale ty każesz iść spać, a ja się ciebie pytam: gdzie ja mam iść spać? Jak ty taka mądra głowa, to ty mi powiedz, gdzie ja mam iść spać?

Aż nosa Poscerowego dotykał się, tak blisko się przysunął ze swoim pytaniem.

— Gdzie padniecie, tam będziecie spać.

— A jakby ja tak do żłobu, ha?

Zaśmiał się żałośnie.

— Ja w żłób, a ty mnie za hyrę, potem za kark i bukiem: a marsz, stary psie!

Poganiacze powylazili z jaseł, żeby patrzeć na komedję.

— Bij z jaseł, boś ty tu gnął i tu masz zgnić, bo ty nie wiesz, co to jest człowiek — tyś wół, tyś między chaty nie obaczył. Ty porządnego człowieka z jaseł bukiem! Ale ty się nie zapytasz: „A gdzie to waspan do teraz był?”. A ja ci powiem: „Byliśmy między ludźmi, milutko nam było“. Ale ty padasz: „A czegoż ciebie ludzie od siebie odegnali? O, to sęk“... A ja tobie na to nic nie powiem, ino trzy słowa: „Niema u ludzi boga“. A tyś głowa rozumna, to i wszystko już zmiarkujesz...

— Idź-że stary spać, nie pleć bajek, a zajutro pojedziemy do siola na wybór, to my tych bogaczyków trochę przyciśniemy.

— Ja na wybory pódę i ludziom całą swoją krzywdę opowiem, ale do żłobu nie pódę, bo ja tam nie mam gnić. Ja znam lepiej gatunek jak ty, ja więcej świata widział, jak twój pan. Ale czekaj, ja tobie powinien jak na protokóle. Ja był pomyjnikiem żydowskim, ja wycierał się popod żydowskie ławy, po wszystkich kryminałach. A niech pan bóg pisze grzech, ja się nie boję, ja za wszystko odpowiem, tak odrąbię, jak pierwszemu lepszemu.. A mnie kto rozumu uczył, ha? Kiedy mnie ino czem widzicie, tym ja był! Nie bój się, ja wypowiem, ja wywiążę się co do kreski. No, ale mi dał bóg taki rozum w głowie, że ja przywrócił się nazad do naszej wiary. Jakem ujrzał jego łaskę niebieską po polu, jak żyto naginało się pod sierp, a ziemia aż prosiła: Pódź Fedorze, bierz ze mnie chleb — tak ja puścił żyda wśród drogi i poszedł do bożej roboty. Dziękuje panu bogu i do dziesiednia!

Przeżegnał się, całował ziemię i bił pokłony.

Przyszedłem ja między naszych ludzi i świat mi się na nowo otworzył: Tożto ja z nimi harował! Ozeeniłem się, postawił chatę z wielkim mozołem. Już mi przecie, myślę, będzie dobrze. Ale grzechy trzeba odpokutować. Bóg bukiem nie bije! Umarła mi Katarzyna, no, nic, jego wola, jego rozkaz. Cieszę się dziećmi, hoduje to, zabiegam — i wychowałem. Ja wy-

chował, a ludzie wzięli i popsuli. Poszła moja Naścia ni tak, ni siak, a Marja, dy wiecie, powędrowała z tych Lachem. Będzie biedować. Ale nic, niech mnie pan bóg skarże, jak co gadam... A ja ostał się bosy. Idę ja do niego w taką plute: „Daj mi grajcar, powiadam, niech nogi obuję“. A on mi pada: „Idź do żydów“. Przyszedłech do was, a wy mi: „Marsz!“. A kanyż ja mam teraz iść? Karze bóg, karzą ludzie, karzecie wy, a ja telo kary naraz nie zdołę wytrzymać!

— Idźcie, ojczy, do żłobu, my was prosimy.

— Nich będzie kara na mnie, ja ją przyjmę, ale po prawdzie!

Rozdarł koszulę u pazuchy, zdjął i rzucił pod woły.

— Teraz patrz, jaką mi skóreczkę bogacze ostawiły. Ta z czem tu żyć? A cóż tu już katować?!

I goły, przewrócił się na ziemię. Najmici go przykrywali, czym mieli najlepszym.

VI

Obok gromadzkiej kancelarji stały dwie kupy. Jedna obdarta, obca w siole, druga czysta, biała i ochocza — najmici i gazdowie. Z jednej i drugiej kupy ktoś wywoływany zachodził do kancelarji i głosował. Ekonom aż zachrypl, bo każdemu najmicie musiał nazywać: pana, wójta i żyda. Żandarmi snuli się i uśmiechali, jakby mieli przed sobą dziecinną zabawkę.

— No, chłopcy, wybraliście pana, będziecie pić gorzałkę — wołał ekonom.

Gazdowie zrobili hałas.

— To wszakże, zebraki, to pańskie bydło!

— Moście-wy, słyszycie, jak bogaczów dławi?

— Niech dławi, a my pijmy gorzałkę.

— Pijcie żar, pijcie krew swoją, złodzieje!

— My gorzałkę wolimy.

— To nam panowie wyszukanali prawo, aby biedaki rozbojem naszły sioło!

— Ty, czytelniku, ty myślisz, że ja nie był w czytelniku? Taże i tam biedny naród stoi przy progu. Za stołem siedzi ksiądz, starsze braty, bogacze, a djak czyta tę gazetę, a wy kiwacie głowami, jak woły, niby coś wy z tego rozumiecie. A to jeden z drugim taki głupi, choć mu oko wykol! Taka-to ta czytelnia wasza, że bogacz za stołem, a najmita przy progu. Tak w cerkwi, tak w kancelarji, tak wszedy. I my mamy być z wami?!

— Chłopski łeb nie do pisma, a zad nie do krzesła!

— Najmici zarechotali.

— Cicho wy, nieumyci, wprzód wszy powybijajcie, a potem uczcie gazdów rozumu!

— Mój ty, Kuroczko, to ty też za ludźmi? Tażeś ty gorszy od żyda! Czego krzyczysz? Nie bój się, twoje bogactwo pójdzie marnie. A przypomnij se, jak ja służył u ciebie, to mnie od twojej roboty choroba nakryła. A czyś ty mi za cały tydzień wyniósł kromkę chleba, abo się dał wody napić? To

ty z ludźmi trzymasz? Ja u ciebie wszystką siłę zostawił, a tyś mnie wygnał bosego na zimę! Taześ ty gorszy od żyda, bo to rachuje się nie nasza wiara. Ale puszczą twoje dzieci to bogactwo, że z niego śladu nie będzie! Ty lutrze!

Kuroczka gruchnął Fedora w twarz tak mocno, że go oblała krew, i upadł.

— Chłopcy, ano, bogacza trochę pomacajmy!

Pochwycili najmici Kuroczkę, postanęli za Kuroczką gazdowie, pocięła krew...

VII

Fedor leżał w swojej chatczynie na pościeli. Oczy jego gorzały, jak żar, od czerwonych języczków, co tysiącami ogników rozbiegały się po ciele i smażyły go na węgiel. Języczki te, jak błyskawki, latały po wszystkich żyłach i wracały się do oczu. Gryzł pięście, bił czołem o ścianę, aby ogień z oczu wypadł, i padał na pościel!

Zapalił się, czuł, że z niego bucha płomień. Brał się rękami za oczy... Jeden straszny krzyk, nieludzki jęk. — Języczki wyleciały z ciała i przylepiły się na szybach okienka.

Zerwał się.

Okienko czerwienilo się jak świeża rana i lało krew na izbę.

— Niech wszystko moje wygore!

Skakał i tańcował i śmiał się.

Okienko drżało, trzęsło się i coraz więcej tej krwi napływało w izbę.

Wybiegł na próg.

Gwiazdy padały na ziemię, las skamieniał,
a gdzieś z pod ziemi dobywały się wściekle głosy
i zaraz przepadały. Chaty ożyły, drżały, smażyły się
w ogniu.

— Ja cudzego nie pragnę, ino niech moje wy-
gorel...



TREŚĆ.

Klonowe liście	5
Złodziej	17
Podpalacz	27

29.287

Ціна 22 коп.

(Р)

